



Hubert Błaszczyk

Sygnatura notacji: **N0030**

Data urodzenia: **10.12.1952 r.**

Data nagrania: **28.05.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Grzegorz Łuszczynski**

Czas nagrania: **60 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Hubert Błaszczyk: Moje nazwisko Hubert Andrzej Błaszczyk. Urodziłem się 10 grudnia 1952 roku w Golczewie, w powiecie Kamień Pomorski, w województwie szczecińskim, w ówczesnym województwie szczecińskim. Mój tata przyjechał wraz z mamą na Ziemię Zachodnie z centralnej Polski i pracował przez pewien czas jako gajowy. Ale po 7 latach od przyjazdu na Ziemię Zachodnie przenieśli się do Golczewa, to jest nieco większa miejscowość, i zaczął pracę jako księgowy w tamtejszych PGR-ach, Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Mama nigdy zawodowo nie pracowała, była cały czas gospodynią domową. Mieli siedmioro dzieci, pięć siostr i jednego starszego brata. Ja byłem najmłodszy. Do dnia dzisiejszego żyją wszystkie siostry i mój brat. Natomiast wszyscy moi szwagrowie umarli już. Skończyłem szkołę podstawową w Golczewie, miałem przepiękne dzieciństwo. Golczewo leży nad dwoma jeziorami, a więc, jak tamte czasy, wakacje to woda, a zima to lód, bo lód był zawsze, nie tak jak dzisiaj, jeziora zawsze zamarzały. Więc po skończeniu 8 klas szkoły podstawowej, byłem pierwszym rocznikiem, który kończył 8 klas, nie 7, zdałem egzamin do liceum ogólnokształcącego w Kamieniu Pomorskim. Uczęszczałem do tego liceum przez 4 lata, bardzo mile również wspominam. Kamień Pomorski to raczej ogólnie znana miejscowość, niedaleko od morza, nad zatoką. Natomiast zdałem egzamin na prawo, na Wydział Prawa na Uniwersytecie Poznańskim, był to rok 1971. Studiowałem wtedy w systemie 4-letnim, dzisiaj słyszę, że prawo trwa 5 lat. Mieszkałem oczywiście w akademikach, poznańskich akademikach. Tam na trzecim roku poznałem swoją żonę Barbarę Świtale, z którą jesteśmy razem, w grudniu będziemy obchodzić 50. rocznicę małżeństwa. Po skończeniu prawa w 1975 roku dostałem się na aplikację sądową w Zielonej Górze. Tam moja żona miała rodzinę, więc myślałem, że może gdzieś tam się zatrzymamy, bo przecież nie mieliśmy żadnych mieszkań. Ale w sumie stało się tak, że dostałem się na tę aplikację. W tamtych latach nie było trudno. Niewielu ludzi chciało aplikować, bo nie były to wielkie pieniądze. Raczej ludzie starali się zostać ad-

wokatami, radcami prawnymi. W każdym razie zamieszkaliśmy w tej Zielonej Górze, zacząłem aplikację, aplikacje sądowe trwały 2 lata i kończyły się egzaminem sędziowskim, który zdałem w 1975 roku. W tamtym okresie Barbara zaszła w ciążę. W 6. czy 7. miesiącu ciąży przeniosła się z powrotem do rodziców do Poznania, żeby były lepsze warunki. Problemem zawsze wtedy było mieszkanie, mieszkanie, żeby się gdzieś osiedlić. Oczywiście sąd pomagał w tym zakresie, ale potem przenieśliśmy się na prowincję. Oczywiście nie miałem żadnego wyboru. Po zdaniu egzaminu sędziowskiego zacząłem praktykę asesorską w Olsztynie, a następnie już na stałe przeniesiono mnie do Świebodzina. Był rok 1977. Gdzieś po roku żona wraz z dzieckiem sprowadziła się do mnie, otrzymałem bardzo małe, jedno-pokojowe mieszkanie i rozpoczęliśmy życie w Świebodzinie. Już w 1977 roku dostałem nominację sędziowską. Nominacje sędziowskie wręczała wówczas Rada Państwa. I tuż potem zostałem wiceprezesem. Byłem najmłodszym sędzią w Polsce, bo miałem 26 lat i 3 miesiące, a wymogiem było skończenie 26 lat. Może nie dlatego, że byłem aż tak dobry, tylko dlatego, że ten sąd w Świebodzinie był zavalony sprawami, bo od dłuższego czasu nie było tam sędziego do spraw cywilnych. A żeby można było wszystkie sprawy cywilne rozpatrywać, to sam stopień asesora nie wystarczał, trzeba było nominacji sędziowskiej. Więc dostałem tę nominację i rozpocząłem pracę w Świebodzinie. 2 lata później urodziła się córka Olga, dostaliśmy też mieszkanie większe, spółdzielcze, z tak zwanej puli wojewody, dla lekarzy, prawników niezbędnych dla danej miejscowości, dostawało się takie mieszkania. Nie za darmo, trzeba było oczywiście zapisać się do spółdzielni, wpłacić wkład i tak dalej, ale na przyspieszonej ścieżce, to nie ma dwóch zdań. Gdy wybuchła „Solidarność” w sierpniu, 80 roku, miejscowi działacze w różnych zakładach pracy, Świebodzin liczył wtedy około 25 tysięcy mieszkańców, tych zakładów było trochę, poprosili mnie o pomoc prawną przy zakładaniu struktur solidarnościowych. To była rzecz zupełnie nowa dla większości. Oczywiście udzieliłem tej pomocy, byłem bardzo zajęty, chodziłem na zebrania w zakładach pracy, pomagałem tym ludziom pisać statuty i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Jak przyszedł grudzień 1981 roku, wybuchł stan wojenny, oczywiście byłem członkiem „Solidarności”. Trzeba powiedzieć, że w województwie zielonogórskim niewielu sędziów należało do „Solidarności”. Myślę, że nie było nas więcej niż 3. Wczoraj usłyszałem, że na przykład na Śląsku to była z reguły połowa składu sędziowskiego w sądach. Nie w Zielonej Górze. Zresztą Zielona Góra do dzisiejszego dnia zwana jest Czerwoną Górą i ona z tego słynęła. W każdym razie już 2 dni po wprowadzeniu stanu wojennego pojawił się w moim sądzie prezes Sądu Wojewódzkiego Zygmunt Malewski z żądaniem, prośbą podpisania deklaracji lojalności. To była taka specyficzna deklaracja lojalności, którą nadesłał ówczesny minister sprawiedliwości, profesor Sylwester Zawadzki, w której to podkreślono, że występuję ze Związku „Solidarność”, nadal nierozwiązanego, zawieszony, potępiam jego działalność do tej pory i przyrzekam, że w przyszłości będę przestrzegał zasad prawa obowiązującego w PRL-u. Odmówiłem podpisania tej deklaracji lojalności z pełną świadomością, że to prędzej czy później skończy się wydaleniem ze służby, co już zaczęło mieć miejsce na przykład w sąsiednim województwie gorzowskim i tak dalej. Pojawił się, gdy odmówiłem, nie był to człowiek zły, on przeszedł lata 50., wspominał te lata, twierząc, jego argumentacja była tego rodzaju, że: „Panie Hubercie, to nic nie da, nigdy nie dawało, złamię pan sobie życie, złamię pan karierę zawodową”. Odmówiłem ponownie podpisania tej deklaracji, ciągle licząc, że nawet jak mnie usuną z tego stanowiska sędziowskiego, to posiadam uprawnienia radcowskie. Zgodnie z ówczesnymi przepisami po 3 latach orzekania jako sędziego uzyskiwało się uprawnienia radcy prawnego. Ale przyszedł „Wujek”, przyszła tragedia w „Wujku”, sytuacja się zaostrzała, moje poglądy również. Więc gdy wspomniani działacze „Solidarności”, z których część przeszła do działalności podziemnej, w tym do ukrywania się nawet na terenie takiego małego Świebodzina, nie odmówiłem prośby o pomoc i sporządziłem dla nich artykuły do prasy podziemnej. To nawet nie była prasa pod-

ziemna, to za małe miasto na prasę podziemną, to były po prostu odbijane na ksero moje artykuły, ale nie tylko moje, ulotki małe i tak dalej, i tak dalej. Więc ta działalność podziemna trwała do 13 marca, czyli dokładnie 3 miesiące od wprowadzenia stanu wojennego, co uważam i tak dużo jak na takie małe miasto. Służba Bezpieczeństwa skierowała tam cały oddział swoich funkcjonariuszy. Mimo że to był grudzień, to rozbili namiot z jakimiś antenami, radarami namierzającymi działaczy, bo udało się również przeprowadzić jedną audycję, z dachu weszliśmy na Dziennik Telewizyjny. W każdym razie gdy 13 marca pojawiłem się w miejscu, dobrze zakamuflowanym miejscu, w którym ukrywał się Czesław Stasiak, ten przywódca tej naszej grupy, on był na liście internowanych, ale zdołał się ukryć, gdy przyszedłem do tego miejsca, aresztowano mnie tam. Oczywiście nie wiedziałem, że oni tam są. Zadzwoiłem w umówiony sposób, zbiegli ze schodów, zatrzymali mnie. Mnie jako sędziemu przysługiwał immunitet, który oni, ci oficerowie SB, respektowali, za co zresztą dostali potem po nosie, bo zgodnie, a ja miałem pełną teczkę odezw przy sobie, a więc to był dowód, to corpus delicti, dowód przestępstwa. I oni mieli prawo je otworzyć. Gdyby to zrobili, to mogliby mnie aresztować i zatrzymać, bo to było zatrzymanie na gorącym uczynku. Ale oni tego nie zrobili, przestraszyli się trochę, zabrali mnie na komisariat w Świebodzinie i zaczęli się kontaktować z Zieloną Górą, a Zielona Góra z kolei z MSW w Warszawie. Trwało to kilka godzin i w końcu ten zdenerwowany, bo potem mi esbecy opowiadali, opieprzył ich, że użyję takiego słowa, i nakazał im zwolnienie bez otwierania tej teckki. Udałem się do domu i nastął ten czas oczekiwania. Prezes Sądu Wojewódzkiego najpierw skierował mnie od razu na przymusowy urlop i 29 kwietnia, czyli ponad miesiąc później, zostałem aresztowany i przewieziony na dołek do Komendy Wojewódzkiej w Zielonej Górze. A żeby to się stało, musieli mieć jakiś podkład prawny, żeby mnie aresztować, więc Komisja Dyscyplinarna Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze wydała orzeczenie, postanowienie, w którym zezwolono na pociągnięcie mnie do odpowiedzialności karnej. W konsekwencji z zawodu zostałem usunięty decyzją ministra Zawadzkiego, decyzją o wydaleniu ze służby. 3 tygodnie przetrzymywano mnie w jednoosobowej celi w Komendzie Wojewódzkiej w Zielonej Górze. To były takie stare metody aresztu wydobywczego, sądząc, że się załamie, że będę zeznawał i tak dalej. Oczywiście poza mną aresztowano, już w tej chwili dokładnie nie powiem, ale około 7 do 10 pozostałych członków grupy, którzy również siedzieli w areszcie. Po 3 tygodniach pobytu w tej izolatce, gdy zorientowali się, pomimo wielu, wielu prób, nie stosowali przemocy poza przemocą psychiczną, tego typu: „Pan się dobrą opinią cieszy, ale pan wie, że my możemy ją zawsze zmienić”. Stare takie esbeckie podchody. Po 3 tygodniach zorientowali się, że tu się nic nie zmieni, przenieśli mnie do ogólnego Aresztu Śledczego w Zielonej Górze przy ulicy Łużyckiej. I tam mnie osadzono z kryminalistami. Wielokrotnie pytano mnie, czy kryminaliści źle się zachowali w stosunku do mnie, bo ja byłem sędzią.

Grzegorz Łeszczyński: Ale wiedzieli, że Pan jest sędzią?

Hubert Błaszczuk: Oczywiście, że tak. Oni szybko zostali o tym poinformowani, esbecy liczyli na to, że ci wywrą jakąś presję. Więc tutaj powiem, że żadnej presji nie wywołali, wręcz przeciwnie. Gdy się pojawiłem w tej celi, to tam były raz, dwa, cztery łóżka i wszystkie były zajęte. Zgodnie z panującymi zwyczajami ja powinienem się położyć na materacu na podłodze, który tam leżał. Ale wstał z jednego z łóżek taki recydywista wytatuowany i kazał temu najmłodszemu zejść z łóżka. I ten bez słowa zszedł z łóżka, położył się na materacu, a ja położyłem się na łóżku. Tak to było. Ten wytatuowany kryminalista, siedział chyba 8 lat, akurat siedział w areszcie dlatego, że złapano go na tak zwanej ucieczce, po kilku dniach przyszedł do mnie i mówi: „Hubert, uważaj, co mówisz, bo raz, że są podsłuchy,

dwa, że ja mam na ciebie wpływać". Nigdy nie spotkała mnie żadna przykrość ze strony kryminalistów w czasie mojego 3-miesięcznego pobytu w areszcie śledczym. Oczywiście nie mówię, żeby wyciągać z tego daleko idące wnioski, bo potem słyszałem od swoich kolegów, że spotykały ich przykrości w innych zakładach karnych. Ale nie było to powszechne, nie było to powszechne. Tym bardziej że po skazaniu mnie, a wyrok zapadł 13 czerwca 1982 roku, może trochę powiem o procesie. Sprawę prowadził Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego na sesji wyjazdowej w Zielonej Górze, czyli w budynku Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, w którym to ja odbywałem aplikację. Czyli był bardzo znany mi ten budynek. Zasiadłem tam na ławie oskarżonych. Za stołem sędziowskim zasiedli oficerowie, w tym zawodowi oficerowie, w tym jeden stalinowiec, a trzeci to był z poboru, porucznik, prawnik, którego skierowano po prostu do służby na podstawie obowiązujących wówczas przepisów, które były dość powszechnie stosowane, że prawnicy byli kierowani do pracy w wojskowych organach wymiaru sprawiedliwości, ale rzadko w sądach, w większości w dochodzeniówkach. Na sali sądowej zasiadło nas chyba 18 oskarżonych, 18 oskarżonych, każdy z nas miał obrońcę, nie byli to obrońcy z urzędu, trzeba powiedzieć, że robili, co mogli, ale to niewiele się dało zrobić. Jeżeli chodzi o moją sytuację, ja odmówiłem zeznań, byłem prawnikiem. Wiedziałem, jak się zachować, odmówiłem zeznań od początku do końca. Poza wtrąconymi czasami komentarzami czy utarczkami z tymi sędziami, szczególnie z tym jednym, to zeznań żadnych moich nie mieli. Skazano mnie na podstawie zeznań dwóch moich współoskarżonych, jednej kobiety, samotnej matki dziecka, i drugiego, którego po prostu oszukano, o czym publicznie na sali sądowej powiedział, podsunęto mu fałszywe zeznania szefa naszej grupy, z których wynikało, że tamten sypie, jak to się mówiło. To ten się załamał i tak dalej. W każdym razie dostałem wyrok 4 lat pozbawienia wolności, a prokurator wojskowy domagał się 8 lat pozbawienia wolności. Najwięcej dostał Czesław Stasiak, czyli szef grupy, 6 lat. Trzeba powiedzieć, że to były postępowania w tak zwanym trybie doraźnym. Na podstawie dekretu o stanie wojennym, nie na podstawie przepisów Kodeksu karnego, tylko dekretu o stanie wojennym, ten nasz akurat stanowił: „kto wbrew przepisom prawa kontynuuje działalność związkową...” i tak dalej, podlega karze pozbawienia wolności nie niżej niż 3 lat. Z dekretu o stanie wojennym odpowiadało się od 3 lat i od wyroku nie przysługiwało odwołanie dla oskarżonych. Dla prokuratora tak. Zresztą prokurator wniósł odwołanie, ale potem, gdy sytuacja łagodniała, został z jakiegoś powodu zobowiązany do wycofania tego odwołania. A więc skończyło się na 4 latach kary więzienia, jak to się poprawnie mówi, a prawnicy mówią o pozbawieniu wolności. I wywieziono nas do Zakładu Karnego na Kleczkowskiej we Wrocławiu. Stare więzienie jeszcze z XIX wieku, które ma całkiem długą historię. Tam między innymi Róża Luksemburg przebywała, wiele, wiele innych znanych osobistości. Tam się odbywały wyroki śmierci, cele śmierci i tak dalej. Warunki były dość prymitywne, głównie z tego powodu, że nie było odosobnionego miejsca na toaletę. Czyli trzeba było się załatwiać publicznie i było to upokarzające. Zresztą w areszcie śledczym przedtem w Zielonej Górze również była identyczna. Ale wzmagała się presja Zachodu, szczególnie prezydenta Reagana, wprowadzono sankcje gospodarcze. Bito się o nasze prawa, szczególnie Amnesty International wtedy, bardzo mocno. Chyba po miesiącu czy dwóch miesiącach pobytu w zakładzie na Kleczkowskiej zrobiono takie osobne miejsca, przepierzenia na toalety. Jeżeli chodzi o pobyt w zakładzie karnym, przysługiwało jedno widzenie miesięcznie z rodziną. Było to bardzo uciążliwe dla mojej rodziny, bo dojechać ze Świebodzina do Wrocławia to była gehenna w tamtym czasie. I autobus, i pociąg, i te 2 maleństwa, 2- i 5-latek. To coś, coś... Moja żona przeszła piekło. Przyjeżdżała co miesiąc na widzenie i zdaje się, że jedna paczka przysługiwała i tak dalej. Po pewnym czasie przeniesiono nas do Zakładu Karnego w Strzelinie, to jest jakieś 30 km od Wrocławia. Strzelin to znany był z tego, że istniał tam kamieniołom, który chyba od XVII czy XVIII wieku był używany. Było to więzienie zbudowane w latach 70., a więc

z płyty. Czyli należało do tzw. nowoczesnych. Tam już oczywiście było to miejsce dla toalet wyosobnionych, odosobnionych. Siedzieliśmy w bloku tylko dla więźniów politycznych, więc nie mieliśmy tam zupełnie żadnego kontaktu z kryminalistami, ale tam kryminalistów w ogóle nie było, bo drugi blok przeznaczony był dla świadków Jehowy. Wypełniali świadkowie Jehowy, którzy odbywali kary więzienia, z czego głównie po 2 lata za odmowę służby wojskowej. Nie mieliśmy z nimi żadnych kontaktów. Nie było to specjalnie trudne więzienie, poza tym, że to była izolacja. Mieliśmy swoje ubiory cywilne, nie dawano nam ubiorów tych więźniarskich, ale powtarzam, ta sytuacja coraz bardziej łagodniała. Im bardziej nacisk Zachodu wzrastał, tym nasza sytuacja stawała się coraz lepsza. Do tego stopnia, że już udzielano nam przepustkę 5-dniową, którą aż 3-krotnie dostałem, i tak to było. I w tym czasie władze rozpoczęły akcję nakłaniania nas do pisania wniosków o ułaskawienie. Była to akcja oczywiście zmierzająca do upokorzenia nas, bo w takim wniosku o ułaskawienie należało nie przeprosić, ale pokajać się za to, co się zrobiło, i przyrzec, że się już tego nie zrobi, że się będzie przestrzegało przepisów naszej ludowej ojczyzny. Takie wnioski o ułaskawienie mogły składać również rodziny, przedstawiciele zakładów pracy, w których się pracowało, i tak dalej. Odmówiłem złożenia takiego wniosku i nigdy nie złożyłem, nikomu zresztą nie sugerowałem, żeby tego nie robił. Wraz przeciwnie, uważałem, że niektórzy ludzie powinni to zrobić, ale jednak ludzie tacy jak ja, którzy byli pewnego rodzaju przywódcami tego ruchu oporu, to powinni się trzymać pewnej linii i pewnych zasad. Więc takiego wniosku nie złożyłem o prawo łaski. I to już była moja druga taka deklaracja po odmowie podpisania deklaracji lojalności. I złożyłem wniosek o przerwę w odbywaniu kary, bo moja żona już była rzeczywiście w stanie ciężkiego załamania psychicznego. Dwoje dzieci. Sytuacja materialna nie była jej aż taka zła, albowiem pomagał Kościół, pomagali przyjaciele. Ale to jest sprawa wychowania dzieci i opieki. To jest silna kobieta, była i jest do dzisiejszego dnia silną kobietą. Złożyłem wniosek o przerwę w odbywaniu kary na 6 miesięcy, żeby jej pomóc. Nieoczekiwanie na rozprawie w więzieniu sądu penitencjarnego pojawił się pułkownik Kraucz, czyli jeden wiceprezes Sądu Śląskiego Okręgowego, ojciec potem bardzo znanego prokuratora Kraucz, przyjechał tam tylko po to, żeby mi odmówić tego prawa do pójścia na przerwę, czego nie ukrywał, jako odwet za to, że nie złożyłem wniosku o ułaskawienie. Tak na tym się skończyło. Historia pokazała, że dobrze dla mnie zrobił, bo w czasie rozprawy powiedział tak do mnie: „Pan sędzi, że będzie amnestia w lipcu”, a to był maj, bo mówiło się o amnestii w lipcu, „A ja panu powiem, że byłem w Warszawie i tam żadne ptaszki nie śpiewały o tej amnestii”. Amnestia 22 lipca przyszła rzeczywiście, zabiła, jak to się mówiło, mój wyrok do 2 lat. Do 2 lat, bo wszystkim o połowę. I z tych 2 lat 2/3, wypuszczono mnie, i to z radości, bo im zależało na tym, żeby te więzienia pustoszały, bo Zachód, jak mówię, naciskał. Wychodząc na wolność, w dalszym ciągu obciążał mnie wyrok 3 lat pozbawienia praw publicznych. To oznaczało w moim przypadku, że nie mam najmniejszych szans na powrót do zawodu prawnika ani do wielu, wielu innych zawodów, w których pełnia tych praw jest konieczna. Żeby obejść jakoś te przepisy, przy czym obowiązywała ustawa o obowiązku zatrudnienia. Musiałeś się zarejestrować, jak nie, to kolegium, zarejestrowałem się, chodziłem, prosiłem tutaj i tak dalej, nigdzie nie otrzymywałem żadnej propozycji pracy, a w pewnym momencie zastosowaliśmy taki trik, że jeden pan zwolnił się z pracy jako referent socjalny w spółdzielni, tego samego dnia ta informacja poszła do urzędu zatrudnienia, ja się pojawiłem tam 5 minut później i ta pani niewtajemniczona dała mi skierowanie do tego, to był referent do spraw prawnych i socjalnych, takie stanowisko na pół etatu. Ten prezes, który też był wtajemniczony, członek partii, natychmiast podpisał ze mną umowę o pracę, więc jak esbecy się u niego zjawili, to już było za późno, bo trzeba by tę umowę, to była funkcja nieznacząca, politycznie to już w ogóle nie miała żadnego znaczenia. Ale rozpocząłem starania o otwarcie biura pisania podań. Czyli taką działalność prywatną. I tutaj naczelnik odmówił. I oczywiście wojewoda odmówił zezwo-

lenia na otwarcie tej działalności, powołując się na to, że byłem karany i nie daję rękąmi należytego wykonywania obowiązków. Tak wtedy ujmowali. Odwołałem się do Naczelnego Sądu Administracyjnego, sprawę oczywiście przegrałem. To pierwsza linia. 3 lata minęły, ja tam ciągle pracowałem jako ten drobny referent. 3 lata minęły i złożyłem wniosek do Okręgowej Rady Radców Prawnych o wpisanie mnie na listę radców prawnych, bo te uprawnienia już mi przysługiwały. Prezes Okręgowej Izby Radców Prawnych w Zielonej Górze odmówił. Naczelny Sąd Administracyjny utrzymał jego decyzję i tak dano mi rozumienia, że nigdy do zawodu prawnika nie wrócę. Ostatnią moją deską ratunku był mecenas, nie wiem, dla panów może nieznaną, ale bardzo głośną postacią, zresztą do dzisiaj, mecenas Siły-Nowicki. W tym czasie, człowiek bohater, legenda, skazany na karę śmierci w okresie stalinowskim, w tym czasie podjął on bardzo kontrowersyjną decyzję przystąpienia do Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelskim. Część działaczy opozycyjnych, dość znanych, przystąpiła do tej rady, 1987 rok, co spotkało się z powszechną krytyką, że pójdzie na układy i tak dalej. Napisałem do mecenasowi Siły-Nowickiego list, w którym mówię: „Panie mecenasie, nie jest prawdą, co panu się wmawia i tam innym na waszej radzie, że nie ma już w Polsce ludzi represjonowanych. Ja chcę pracować jako prawnik”, i podsyłam mu kopię odpowiedzi, „ale nie mogę”. „Ale co też pan mówi, ja tu porozmawiam”, odpisuje mi, mam te wszystkie listy. „Porozmawiam z generałem Jaruzelskim, na pewno coś załatwimy”. Tak załatwił biedny, ja mu niczego nie zarzucam, że pojawiło się 2 oficerów Służby Bezpieczeństwa z MSW, zresztą nie przedstawiając się początkowo, kim są, ja naprawdę myślałem, że oni w sprawie tego mojego listu do mecenasowi Siły-Nowickiego, zawieźli do hotelu. Na czym polegała ta rozmowa? Na tym, ponadgodzinna nagrywana zresztą na taśmę w ich dyplomatce, tak się nazywały ich walizki, z nakłanianiem mnie do wyjazdu do Berlina Zachodniego i przystąpienia do struktur „Solidarności” w Berlinie. I powrót po roku, oczywiście przy pełnej współpracy z nimi. I potem zaczną się pana schody, czyli powrót do zawodu i tak dalej, i tak dalej. Odmówiłem.

Grzegorz Łeszczyński: Bo miałby pan nam pojechać w charakterze informatora bezpieki?

Hubert Błaszczuk: No oczywiście, że tak. Ja ze swoją przeszłością tam zdobyłbym zaufanie, wstąpił w ich struktury i tak dalej. Powrócił po roku zniesmaczony. Takie przypadki wtedy były, nie powiem, na porządku dziennym, ale bardzo często włączał pan „Dziennik Telewizyjny”, on się kończy i nagle jest oświadczenie byłego działacza „Solidarności” takiego i takiego. I ten wstaje, pluje na całą „Solidarność”. I właśnie wrócił z Zachodu. To było dość obrzydliwe. Nawet wielkie nazwiska łapały się, udawały się łapać. Ja miałem też być taką postacią. Wtedy już zdecydowałem o wyjeździe do Australii. Czyli 4 lata, Australia udzieliła mi azylu politycznego. Miałem z portu Warszawy przez Frankfurt do Sydney. To wszystko na koszt rządu australijskiego. Był to listopad '87. Rok później system zaczął się walić, a 2 lata później już nie istniał. Ale kto mógł pomyśleć? 4 lata i tak starałem się robić, co się dało. Gdy system się zawalił, to nie miałem gdzie wrócić. Nie miałem tutaj niczego. Ani mieszkania, ani pracy. Wyrok skazujący nadal obowiązywał. W Australii również niczego nie miałem. To były dopiero początki. Wyprzedzę sytuację, w 1994 r. Sąd Najwyższy uniewinnia nas wszystkich od zarzutu popełnienia tych czynów na wniosek w wyniku rewizji Nadzwyczajnej Prokuratury Wojskowej, która złożyła tę rewizję z własnej inicjatywy. Wszyscy zostaliśmy na pniu uniewinnieni. Wydawałoby się, że przywrócone zostaną również wszystkie prawa, ale nikt się z Polski nie odezwał. Nikt się z Polski nie odezwał w tej sprawie. Teraz się bardzo dużo o tym mówi, ale to już jest obecna historia. Zaczęliśmy to swoje życie, nie znając języka angielskiego. Wyjechaliśmy do Australii dlatego, najlepiej byłoby do Niemiec, a ja do Niemiec, umiałem, w miarę dobrze umiałem język niemiecki, ale nie chciałem. Szwecja wstrzymała chwilowo przyjmowanie więźniów

politycznych z Polski, bo miała napływ z innych. Sugerowali Stany Zjednoczone, Kanadę. Z uwagi na dość dobre zabezpieczenie socjalne, jakie obowiązywało w Australii, dostęp do służby zdrowia, do szkolnictwa, zdecydowaliśmy się na Australię. Na czym polegały te zabezpieczenia socjalne w Australii? W Australii jest bezpłatna służba zdrowia. Oczywiście bezpłatna w tym sensie, że pracujący płacą jakiś podatek, który się potrąca z pensji czy z dochodów, ale lekarz jest otwarty, szpitale są otwarte, idziesz, wychodzisz i niczego nie płacisz. Równolegle funkcjonują prywatne kliniki, szpitale i tak dalej, można to zrobić. Jeżeli chodzi o szkolnictwo, myśmy wysłali dzieci do szkół katolickich, skończyli je wyjątkowo dobrze, córka, dostęp do uniwersytetu w Australii nie zależy od ilości pieniędzy, które pan posiada. Od tego, ile punktów zdobył pan czy pani na maturze. Ja oczywiście mówię skrótowo, a w skali od 1 do 100 wszyscy ci, którzy będą powyżej 95, wybierają uniwersytet, który chcą. Bo zdecydowana większość uniwersytetów australijskich są uniwersytetami państwowymi. Prywatnych jest tam kilka, ale nie mają większego znaczenia. W związku z tym wiedząc, że taka jest sytuacja, syn skończył nauki polityczne, córka skończyła prawo. I tak się stało, jak chcieliśmy. Ja pracowałem pierwsze 4 lata jako robotnik fizyczny na budowach. Aha, w hostelu jeszcze przebywając w hostelu skończyłem 2 krótkie kursy języka angielskiego, co dało mi już taką możliwość kontaktowania się z otoczeniem. Ten język się usprawniał w miarę upływu czasu, było coraz łatwiej, ale on nigdy nie osiągnął takiego poziomu, jakiego wymagało się na przykład przy wykonywaniu zawodu prawnika, lekarza i tak dalej. A potem pracowałem w fabryce telefonów, a skończyłem całą swoją karierę, pracując w Australii, na emeryturze jestem ostatnie 5 lat, pracując jako kierownik takiego dość dużego magazynu przy fabryce, czyli to były prace coraz łżejsze, coraz łżejsze. Podobnie było z żoną, też cały czas pracowała. Przeszliśmy na emeryturę, już nie będę mówił o systemie emerytalnym australijskim, ale jest on taki, że tam każdy otrzymuje emeryturę bez względu na to, ile pracował, jak długo pracował. Przysługuje nam również emerytura z Polski, która jest niewielka, bo niedługo tutaj pracowaliśmy. Ale jak się kupi dom i się ma go spłaconego, dzieci są wykształcone i już odejdą na swoje, to da się godziwie żyć. Tyle mogę, a co jeszcze?

Grzegorz Łeszczyński: Czy nawiązał pan tam kontakty z Polonią i ze strukturami „Solidarności”?

Hubert Błaszczyk: Bardzo ściśle. Wystarczy powiedzieć, że prawie 10 lat byłem przewodniczącym Związku Polskich Więźniów Politycznych w Australii. Ta organizacja obejmowała wszystkie stany. W szczytowym okresie było nas około 50 osób, nie samych więźniów i internowanych, ale osoby sympatyzujące również. W wyniku naszej działalności odwiedzali nas, sprowadzaliśmy na konferencje, na spotkania takich ludzi jak państwo Gwiazdowie, pan Cenckiewicz, pan Wyszkowski, pan Binięda, oj, długo musiałbym wymieniać. Ta działalność zamarła, praktycznie zamarła z momentem pandemii. Nadal celebруем rocznice patriotyczne i tak dalej, ale byłem bardzo zaangażowany w działalność polityczną właśnie z punktu widzenia więźniów politycznych i internowanych.

Grzegorz Łeszczyński: A w latach 80. jak to wyglądało? Odczuwało się jakąś pomoc ze strony Australii, społeczeństwa czy rządu dla Polski, dla idei „Solidarności”? Wtedy, kiedy pan tam przyjechał, pod koniec lat 80., jakie było zainteresowanie „Solidarnością”?

Hubert Błaszczyk: Powiem tak, ponieważ to był rok '87, czyli już dość późno, ta fala poparcia już była coraz mniejsza, ale z opowieści moich kolegów wynika, że była bardzo duża, oni organizowali, ci, którzy wyemigrowali już w 1982 roku, a było ich bardzo dużo, zorganizowali grupy polonijne, zbieranie paczek, wysyłanie pomocy, lekarstw.

Społeczeństwo australijskie wsparło ogromną pomocą polską „Solidarność” i tak dalej. W okresie mojego pobytu to już to była inna pomoc, raczej nawiązywanie kontaktów, w sensie kontakty polityczne. Już nie było wysyłania paczek czy czegoś takiego, ale generalnie w początkowych latach stanu wojennego i potem to była duża pomoc, wiem to na pewno.

Grzegorz Łuszczynski: Jeszcze były ważne wydarzenia jak Okrągły Stół, później wybory czerwcowe. Może pan też uczestniczył w tym, jak to wyglądało?

Hubert Błaszczuk: Nie byłem w Australii wtedy.

Grzegorz Łuszczynski: W 1989?

Hubert Błaszczuk: Ja byłem w 1988... a, Okrągły Stół, ale oczywiście. Nie, dobre pytanie. Więc powiem, że się Polonia bardzo podzieliła. Jeżeli chodzi o Okrągły Stół, to emigranci są z reguły bardziej radykalni niż mieszkańcy kraju. Spotkało się to z powszechnym potępieniem. Bardzo mało ludzi w Australii, mówię o emigracji politycznej, popierało ideę Okrągłego Stołu, uważano, że to jest oszustwo, że nie powinno się w to wciągać i te rzeczy, i te rzeczy. Natomiast jeżeli chodzi o wybory, przede wszystkim te wybory, znowu nastąpił podział, że to nie są w pełni demokratyczne wybory i nie należy w nich uczestniczyć, ale tu już ta emigracja była podzielona pół na pół. Ja uczestniczyłem w tych wyborach, stałem na stanowisku, że każdy głos się liczy, że to jest nasza jedyna szansa, ale rzeczywiście przynajmniej połowa emigrantów uważała. Ale przy wyborach prezydenta, w których Wałęsa startował, wtedy nie było w ogóle mowy o jego agenturalnej działalności, to było gremialne poparcie, żeby iść, żeby iść, bo kto tam był, nie był ten Wałęsa, to trzeba na niego głosować.

Grzegorz Łuszczynski: Czy pan tam się zaangażował czynnie w działania „Solidarności” jeszcze w tym, powiedzmy, etapie schyłkowym?

Hubert Błaszczuk: Nie. Trzeba przyznać, że nie. Dlatego że to był okres dla mnie początkowy. Szukanie miejsca pracy, jakieś tam. Znałem się z ludźmi, chodziłem na jakieś spotkania, zebrania, ale nie byłem aktywnym działaczem. Moja aktywna działalność zaczęła się jako przewodniczącego Związku Więźniów Politycznych. Ale w tym schyłkowym okresie właśnie tego okresu Okrągłego Stołu i wyborów nie, byłem raczej biernym uczestnikiem. Tylko wspomnę, że niezupełnie zapomniano o mnie w Polsce, bo to byłaby nieprawda. Lech Kaczyński przyznał mi Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski. Dzięki IPN-owi otrzymałem Krzyż Wolności i Solidarności. Tak, tak. Jeżeli są pytania, to oczywiście bardzo proszę.

Grzegorz Łuszczynski: Czy wsparcie ze strony Polonii dla pana było, kiedy pan tam przyjechał? Odczuł pan to – w poszukiwaniu pracy, mieszkania i tak dalej?

Hubert Błaszczuk: Tak, było, było, oczywiście, że było. Bez tego by się nie dało zacząć, nie znając języka. Więc zaczniemy od mieszkania, pojawił się jakiś człowiek, który mówi: „Słuchaj, Hubert, tam się zwalnia, jacyś Polacy

zwalnają”, oczywiście to nie były własnościowe mieszkania, ktoś był właścicielem, trzeba było płacić rent, ale nawet wynajmując mieszkanie, to ten landlord, ten właściciel musi mieć do ciebie zaufanie, bo nie jest pewny, czy będziesz płacił. Więc ktoś za ciebie rekomenduje i tak dalej. W ten sposób uzyskałem pierwsze mieszkanie. Drugie, gdy już ten krąg znajomych się poszerzał, zjawił się człowiek, który wyjeżdżał na studia do Polski, a urodzony był w Australii, Polak, który przekazał nam domek, piękny domek, oczywiście za odpłatnością, za płacenie czynszu. Zjawił się prędzej, niż przewidywałem, bo studiów nie skończył, ale oczywiście powiedział: „Mieszkajcie tam, aż nie zdobędziecie własnego domu”. A więc ta pomoc była, podobnie z pracą. Zawsze się ktoś pojawiał, Polak, i mówi: „Słuchaj, tam się zwolniło miejsce”, tak jak w moim przypadku gdzieś tam na budowie. Przy czym ja pracowałem, i to dobrze, głównie z Australijczykami i dla Australijczyków, bo jak się wpadło w środowisko polskie w pracy, bo jeżeli chodzi o towarzyskie, to zawsze mieliśmy towarzystwo polskie, to ten język się nie pogłębiał. A jak się pracuje z Australijczykami, to musisz zacząć mówić coraz lepiej i coraz lepiej.

Grzegorz Łeszczyński: Jaka była reakcja środowiska sędziowskiego czy ogólnie prawniczego na sam fakt aresztowania pana i postawienia tych zarzutów? Czy były próby solidaryzowania się z panem, pomocy? Bo jednak, jakby nie patrzeć, był pan sędzią. Oprócz oczywiście, wiadomo, przełożonych czy to bezpośrednio z ministerstwa, czy tutaj sędziego, który pana skazywał, ale jak w ogóle zareagowało środowisko?

Hubert Błaszczyk: Więc postawy były różne. Powiem najpierw o tych dobrych. Moi przyjaciele, sędzia Górski czy mecenas Trudnowski, od dawna, od studiów byliśmy znajomymi, a potem to się przerodziło w przyjaźń, nie odstąpili mnie ani na krok. Jak siedziałem w więzieniu, pomagali mojej żonie, a to można było się liczyć z represjami, o których zaraz powiem. Gdy opuściłem zakład karny, byliśmy zawsze sobie bardzo bliscy. Kilku takich było prawników. Ale też były osoby, które przechodziły na drugą stronę ulicy, nie dlatego, że się wstydziły, raczej może nie chciały podać ręki, ale tu już nie chciałbym opowiadać o nazwiskach. Zbudowany byłem postawą tych, którzy pomagali i którzy nigdy nie wyrzekli się tej znajomości. Powiem taki przykład, że jak przyjechałem na pierwszą przepustkę do Świebodzina, chyba w listopadzie 1982 roku, to już następnego dnia pojawił się u mnie, poza innymi, prezes Sądu Rejonowego, członek partii, i pani prokurator Baran, też członek partii, z kwiatami. A mieszkanie oczywiście było obserwowane. Tu rozmowa była. Łzy, współczucia i te rzeczy, i te rzeczy. Następnego dnia pan prezes zostaje wezwany do Komitetu Wojewódzkiego, pyta, w jakiej sprawie, oni mówią, w jakiej, a on mówi, że w takiej sprawie to nie pojedzie, oczywiście został złożony z urzędu prezesa, a nie wyrzucony z pracy, złożony z urzędu prezesa. Basia Baran została wezwana do Prokuratury Wojewódzkiej, tam się musiała biedna pokajać i tak dalej, tak że tak to wyglądało.

Grzegorz Łeszczyński: Czy to, że pan był sędzią, miało wpływ na wymiar kary?

Hubert Błaszczyk: W uzasadnieniu wyroku na pewno to podkreślono, że jako sędzia i tak dalej, ale przepis był jasny, nie wolno prowadzić działalności związkowej, to jedno. I udział w zorganizowanej grupie przestępczej przeciwko interesom państwa socjalistycznego i tak dalej. Trzeba jednak powiedzieć, że ten dekret o stanie wojennym został uznany kilka lat później za wprowadzony nielegalnie. Nielegalnie. A żadnych konsekwencji. To może ci sędziowie powinni odpowiedzieć za to. Toczyło się postępowanie, IPN chyba lubelski toczył postępowanie w sprawie

tych sędziów z mojej sprawy. Przysłali mi tyle dokumentacji. Nawet mnie w konsulacie przesłuchiowano w tej sprawie. Skończyło się umorzeniem. Umorzeniem tej sprawy, czyli nie pociągną tych do odpowiedzialności karnej, a z tego, co wiem, tych dwóch głównych to już tak nie było, nie żyli.

Grzegorz Łeszczyński: Jak pan ocenia z perspektywy czasu ten proces właśnie rozliczenia sędziów tego środowiska ze stanu wojennego z lat 80.? Uważa pan, że już po roku ,89 w wolnej Polsce poczyniono jakieś kroki ku temu, czy raczej to się nie udało?

Hubert Błaszczuk: Nie poczyniono wiele. Pan Jakub, pan doktor więcej wie na ten temat, bo od lat siedzi w tych sprawach. Myślę, że prześlizgnięto się nad tymi sprawami. Nie pociągnięto praktycznie do odpowiedzialności zbrodniarzy, bo byli tacy w środowisku sędziowskim, popularne było stwierdzenie profesora Strzembosza, że środowisko się samo oczyści. Natomiast jeżeli chodzi o to, co się dzisiaj dzieje, to ja jestem zszokowany, to mi przypomina atmosferę tych lat i miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego. Te próby klasyfikowania sędziów na lepszych, na gorszych, jakieś kategorie. Przecież takie rzeczy robiło się w Niemczech po 1933 roku. Jestem tym oszołomiony. Nie sądziłem, że doczekam takich lat. Jeżeli chodzi o sędziów Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze, to ja nie znałem tam nikogo, kto sprzyjałby mi, kto oficjalnie poparłby. Tam miałem nawet kolegów, nigdy już potem ich nie widziałem. To było środowisko przesiąknięte byłymi sędziami stalinowskimi, między innymi takimi, którzy kończyli oślawioną szkołę Duracza. To już nie pamiętam dokładnie, szkoła trwała 2 lata, uzyskiwało się prawo do sądenia i tak dalej, i tak dalej. Jednym z nich był właśnie sędzia Garycki, który w cudzysłowie zasłynął orzekaniem w procesach demonstrantów. To były takie demonstracje na początku lat 60. w Zielonej Górze, jedna z pierwszych demonstracji politycznych w Polsce w obronie Kościoła w centrum miasta. Był bardzo zaangażowany. To był marksista. Złego słowa użyłem, marksista. Stalinowiec. Stalinowiec. Był właśnie rzecznikiem dyscyplinarnym w mojej sprawie, a te 3 panie sędziny, które tam zasiadały w tej komisji, to były takie właśnie typowe jego koleżanki. To nie był skład przypadkowy tej komisji dyscyplinarnej. Ale tak jak mówię, to była czołowa postać, stalinowska postać w Sądzie Wojewódzkim w Zielonej Górze, ale było ich tam więcej. Ten proces przed Sądem Śląskiego Okręgu Wojskowego na sesji wyjazdowej w Zielonej Górze miał miejsce w czerwcu i odbyły się chyba 3 lub 4 rozprawy. Przewodniczącym był sędzia pułkownik Węglowski lub Niewęglowski, który starał się zrobić wszystko, żeby ten proces jak najszybciej się zakończył, żeby nie było kontrowersji, żeby nie było jakichś wystąpień politycznych. Chodziło mu o to, ale był obok niego stalinowski, sędzia stalinowski, potem wyczytałem, że bardzo zaangażowany w proces stalinowski. Ja niestety już nie pamiętam jego nazwiska, ale jest to w dokumentach. Ten człowiek zachowywał się haniebnie. Przerzywał wypowiedzi, zeznania, dodawał swoje komentarze. Miałem z nim starcie, w jednym momencie mówię do tego pułkownika, przewodniczącego składu: „Proszę powstrzymać pana sędziego, bo on wywiera presję na tych”. Ten trzeci, porucznik, to nie odzywał się zupełnie, było widać, że jest mu głupio. Czyli mieliśmy takie 3 przypadki: człowieka młodego, który bardzo się tam nie chciał znaleźć, przewodniczącego, który robił wszystko, żeby nie zeszmacić się i przejść do historii jako kompletna szmata, i taka szmata kompletna, której nie zależało na tym, co się o niej będzie sądzić. Nazwiska są w dokumentach, ja już tak dobrze nie pamiętam, to jest kopę lat. Tak odebrałem ten wyrok i tę sprawę. Przez moment nie liczyłem na to, że zapadną inne wyroki. Otoczka procesu była bardzo ciekawa i haniebna, bo jak nas przywieziono z aresztu przed gmach Sądu Wojewódzkiego, w kajdankach oczywiście, to ten sąd otoczony był oddziałami ZOMO z psami, tych psów od cholery, że tak powiem. Te psy wytresowane są do pogoni za więźniami, za zapachem więźnia. Jak te psy

się rozszczękały, to to wyglądało jak w obozie. Jak w obozie. Coś nieprawdopodobnego. Ludzi nie było. Byli tylko ci, którzy dostali przepustki na salę. A więc tak, moja żona, moja siostra, jedna, druga, 3 osoby chyba z rodziny mogły dostać. Ale pierwsze 2 rzędy to oficerowie Służby Bezpieczeństwa, których większość znaliśmy. Znaliśmy z postępowania. I co jeszcze, w czasie procesu pojawili się ci esbecy z aresztu śledczego, ale tak mijali mnie, to był też chwyt, mijali mnie, jak ja szedłem na przykład po zmianę odzieży, niby przypadkiem, a to było liczenie na to, że jak ja go zobaczę, to poproszę o rozmowę. I to takie stare chwyt. Tyle pamiętam z tego procesu, o, ze strony publiczności i rodziny tam się odzywało, krzyki, „niesprawiedliwość” i tak dalej. To było to widowisko.

Grzegorz Łeszczyński: A ten proces ile trwał?

Hubert Błaszczyk: Ja myślę, 13 czerwca, chyba 17 czerwca wyrok. Zaczął się na początku czerwca, ale ile rozpraw, nie pamiętam. Nie sądzę, że było ich więcej niż 3 lub 4. – [Jakub] A czy wiesz o tym, że o tym procesie pisały gazety?

Hubert Błaszczyk: Wiem, że ukazał się artykuł w jednej z gazet, chyba w „Nadodrze”, zielonogórskiej. I ten artykuł czytałem, co widziałem tę panią dziennikarkę na sali. To był okres wiadomo jaki. Nie pamiętam dokładnie treści tego artykułu, czy ona była, na pewno nie był sprzyjający, to jest oczywiste. Takie były lata. Wiem tylko o tym jednym artykule, natomiast wiem również, że mówiono o tym w Radiu Wolna Europa i tak dalej, że ludzie przesyłali informacje, że mówiło się o tym, bo to był duży proces, kilkanaście osób. W parku przed sądem podszedł do mnie już jeden z działaczy „Solidarności”, z którym znaliśmy się, Paweł Zalisz, późniejszy współoskarżony. Emigrował do Stanów Zjednoczonych, niestety bardzo szybko umarł na raka. Podszedł do mnie, czekał na mnie, aż wyjdę z sądu, a znaliśmy się dość dobrze. Mówi: „Panie sędzio, brak nam kogoś, kto potrafi coś napisać. Mamy strukturę i tak dalej”.

Grzegorz Łeszczyński: Może dodajmy, że ta organizacja to Podziemie NSZZ „S” Ziemi Świebodzińskiej.

Hubert Błaszczyk: Dokładnie, tak się nazywała. „Czy by pan pomógł? Czy chciałby się pan spotkać z ukrywającym się tym Stasiakiem?” A właśnie chciałem się spotkać. To już przesadziło o naszych losach. A chciałem zobaczyć, czy człowiek poważny, czy można liczyć. Tak jakieś 2 dni czy 3 dni później zaprowadzono mnie tam do niego. Oni tam zrobili taki specjalny pokój, korytarz kończył się ścianą. A to nie była ściana, tylko ukryte drzwi, ale sprawiało wrażenie, że tam już niczego nie ma, że to jest koniec korytarza. Zgodziłem się na dalsze opisanie, ale dokładnie to było w ten sposób, że podszedł do mnie Paweł Zalisz w parku przy sądzie i zaczął rozmowę na temat ewentualnej pomocy. I to już było tuż po wydarzeniach w „Wujku” i nie miałem żadnej wątpliwości, jaką decyzję podjąć. – [Jakub] To musiało być jakieś zaufanie.

Hubert Błaszczyk: O tak! – [Jakub] Z czego wynikało to zaufanie?

Hubert Błaszczyk: U tego Pawła? Znaliśmy się z okresu działania „Solidarności”, ale nie byliśmy zbytnimi przyjaciółmi. Ja myślę, że to zaufanie wynikało z tego, że on kalkulował w ten sposób: jeżeli się sędzia nie zgodzi, bo się boi albo uważa, że to bezsensowne, to dobra, do widzenia. A jak się zgodzi, to zrobi to świadomie, bo przecież nie

będzie kapusiem. Na pewno tak rozumował. Tak myślę.

Grzegorz Łeszczyński: Tutaj też warto dodać, że był pan jedynym sędzią, który dostał najwyższy wymiar kary. Nie tylko został pan wydalony z zawodu, ale też otrzymał pan realnie...

Hubert Błaszczyk: Teraz wiem dzięki pracy pana doktora, że jedynym, który został skazany na karę pozbawienia wolności, tam były inne represje, o których pan doktor pisze w swojej pracy habilitacyjnej, dotyczyły one wielu osób, ale wyrok skazujący jest jedyny.

Grzegorz Łeszczyński: Czy jakoś to się też odbiło echem? Docierały do pana takie informacje? Czuł pan wsparcie ze strony chociażby środowisk opozycyjnych?

Hubert Błaszczyk: Środowisk opozycyjnych tak, nie ma dwóch zdań. Natomiast środowiska prawniczego nie, poza tym wspomnianym w okręgu Świebodzinie. Natomiast już po opuszczeniu zakładu karnego tak, miałem ściśle kontakty z opozycją w Warszawie, z pracownikami komitetu przy kościele św. Marcina.

Grzegorz Łeszczyński: Mógłby pan troszkę o tym też opowiedzieć.

Hubert Błaszczyk: Dobrze. Chyba 3–4 tygodnie temu jeden z moich współwięźniów, już byliśmy na wolności, zawiózł mnie do Warszawy, wtedy zapoznałem się z panią Sadowską, przeżywającą straszną żałobę po śmierci Grzegorza Przemyka, bardzo dużo nam pomogła. Pani Sadowska z kolei wprowadziła nas w struktury tego komitetu pomocy przy kościele św. Marcina, który taki znany jest. Tam poznałem kilka osób. Te osoby odwiedzały mnie i w Świebodzinie. Pani Sadowska również przyjechała. Zorganizowałem spotkanie w salce parafialnej, do innej by się nie dało. Trzeba wspomnieć, że wspomagały nas darami pieniężnymi, one dawały kontakty ze Szwecją głównie i z Niemcami w postaci przesyłania paczek. Te też nadchodziły. Tak że kontakty z opozycją mieliśmy, ale nie tylko dla pomocy, ale również przekazywali nam „Tygodnik Mazowsze” głównie, duże ilości „Tygodnika Mazowsze”, różnego rodzaju gadżety, jak kalendarze „Solidarności”. Mieliśmy tego materiału bardzo dużo. Musieliśmy bardzo uważać, bo byliśmy namierzani przez Służbę Bezpieczeństwa cały czas, ale mieliśmy dość dobrze rozpracowane te ścieżki dostarczania, do tego stopnia, że nigdy już nikt nie wpadł. Były wypadki na terenie Świebodzina, dwóch chłopców postawiło takie znicze ku pamięci zbrodni katyńskiej. Udało się to jednego roku, a drugiego roku cmentarz był otoczony i zostali aresztowani. Ale już to był taki okres, że dostali kary w zawieszeniu. Gościliśmy również, jeżeli chodzi o uderzenie Służby Bezpieczeństwa, to najbardziej ich zdenerwowało, gdy jednego dnia odwiedził nas na nasze zaproszenie taki Cezary Filozof, widzę, że on już nie żyje, on był z Grzesiem Przemykiem na Starym Mieście wtedy, gdy go pobito. Czyli był to świadek dla Służby Bezpieczeństwa niesamowicie ważny. I myśmy go teraz sprowadzili do Świebodzina w celu dania mu podpory psychicznej. Z przyjemnością przyjechał, ale tutaj służba zareagowała, nie natychmiast, po 3 dniach. Wpadli do mieszkania, zabrali go, nie aresztowali, tylko odwieźli do Warszawy.

Grzegorz Łeszczyński: Czuł pan, że jest pan śledzony po wyjściu z więzienia?

Hubert Błaszczyk: O tak, tak, tak, cały czas to było. To się miało pewną świadomość tego. Nie sądzę, żebym miał podśluchy zakładane, bo jakby tak zakładali wszystkim podśluchy, toby im nie starczyło. Ale tak, mieli swoich donosicieli. Mieli swoich donosicieli w naszym środowisku. Ale to się miało świadomość. Niespecjalnie się tym człowiek przejmował, bo jak się już raz przejdzie takie piekło, to już się nie ma, człowiek się już nie boi. Do końca nie wiemy, kto sypanął, w cudzysłowie, to miejsce ukrywania się Stasiaka. Nie wiemy, do dzisiejszego dnia nie wiemy. Na pewno nie z naszej tych, ale tak jak mówię, środowisko bardzo małe. Podobno akta zostały zniszczone. Może się nigdy nie dowiemy, kto konkretnie sypanął, że tam ukrywa się Stasiak. A jak się ukrywa Stasiak, jak już wiedzieli, to wyłapywali. Myśmy tam przychodzili, ja byłem kolejny, którego w tej kryjówce złapano. Ale kto konkretnie, nie wiem.

Grzegorz Łeszczyński: Czym zajmowała się podziemna „Solidarność” Ziemi Świebodzińskiej, jakie sobie cele stawialiście po wprowadzeniu stanu wojennego?

Hubert Błaszczyk: Wyłącznie informacyjną, wyłącznie rozpowszechnianiem w zakładach pracy ulotek. Szło to bardzo mocno. Były takie dwa wielkie zakłady, jeden się nazywał El-Termy, drugi Zakład Mebli, tam rozprowadzano te ulotki. Były też akcje tego typu, jak ludzie wychodzili z kościoła, z dachów się sypany też te ulotki. A więc głównie działalność informacyjna i to się odbijało, ludzi to podtrzymywało na duchu. Powiem taki przykład. Istnienie takiej grupy czy w ogóle działaczy „Solidarności”, jakie ważne. W pewnym momencie, w jakimś okresie, zapomniałem, w jakim, ale nadal w stanie wojennym czy tuż po nim, policjant [milicjant] zabija młodego człowieka, który przed pójściem do wojska urządza sobie kemping nad jeziorem w Lubrzy. Okolice Zielonej Góry są przepiękne, Świebodzina, masa lasów, jezior. Tam chłopcy z Lubrzy zrobili sobie kemping z ogniskiem i ten chłopak powinien iść do wojska. Przychodzi 3 policjantów przechodzących, bez wątplenia oni tam nie byli na żadnej służbie, tylko gdzieś tam też pili. Dochodzi do scysji i jeden z tych policjantów zabija tego chłopca, strzela. I uciekł oczywiście, specjalnie uciekł, żeby nie pobrano mu krwi i tak dalej. Ukrywał się 3 dni i po 3 dniach się ujawnił. I rozpoczęło się śledztwo. On się oczywiście nie przyznawał. Ci policjanci twierdzili, że chłopcy ich zaatakowali, chłopcy twierdzili, że było przeciwnie, i my tu wkraczamy. Oczywiście włos z głowy nie spadł temu policjantowi. Ale sprawę nagłośniliśmy, Warszawa o tym mówiła, Wolna Europa o tym mówiła. To był między innymi cel naszego istnienia. Też nam włos z głowy nie spadł. Między innymi pracownicy El-Termy, sporządziłem taką odezwę apel, że 100 ich podpisało. I już nie było takiej możliwości represji za to, że złożyłeś podpis. Może nie uzyskaliśmy tego, że ten policjant został skazany, nie wiem, jakie były dalsze jego losy, bo wyjechałem, ale ludzie już byli odważniejsi. To środowisko, w którym ja żyję, interesuje się bardzo. Goście, którzy nas odwiedzają, twierdzą, że wiemy o Polsce wiele więcej czasami niż niejeden Polak tu mieszkający. My żyjemy sprawami polskimi, to trudno się dziwić. Natomiast ta młoda emigracja to nie sądzę, żeby tak było, ale moje środowisko żyje, solidarnościowcy i tak dalej. Mamy takie swoje strony, stronę Związku Więźniów Politycznych prowadzimy, to rzeczywiście.

Grzegorz Łeszczyński: Polska jest obecna w przekazie w Australii w mediach czy przy wyjątkowych okazjach?

Hubert Błaszczyk: Przy wyjątkowych okazjach. Nawet nie widziałem ani jednego artykułu na temat kampanii prezydenckiej w Polsce. Szukam czasem, nie, nic nie ma, cisza kompletna.

Grzegorz Łeszczyński: Bardziej pewnie w kontekście Unii Europejskiej jako całości.

Hubert Błaszczyk: Tak, tak, tak. Częściej się interesują sytuacją na Węgrzech, Orbán jest ciągle wymieniany. O Polsce niewiele.

Grzegorz Łeszczyński: To też świadczy, że spokojnie jest.

Hubert Błaszczyk: Tak się właśnie mówi.

Grzegorz Łeszczyński: I nic specjalnego takiego nie wyróżnia.

Hubert Błaszczyk: Tak.

Grzegorz Łeszczyński: Dobrze, czyli rozumiem, że pan się tam zakorzenił w tej Australii już od tych prawie 4 dekad.

Hubert Błaszczyk: Nie ma mowy o powrocie, bo tam wnuczki.

Grzegorz Łeszczyński: A często pan odwiedza Polskę?

Hubert Błaszczyk: Czy przyjeżdżam często? To jest piąty raz od wyjazdu, czyli nie tak często, ale widzę postępy. O, pięknie, teraz jechaliśmy kawał drogi przez Polskę, Toruń, Rzeszów, pędzi się.

Grzegorz Łeszczyński: Kiedy ostatnio pan był?

Hubert Błaszczyk: 2 lata temu, miałem piękny pobyt w Polsce, bo kończyłem 70 lat i dzieci mi sprezentowały podróż, nie tylko mi, żonie, podróż Dunajem z Budapesztu do Amsterdamu. I trochę Europy zwiedziłem, ale myślałem, że to już ostatni wyjazd. Nagle tu pojawili się przyjaciele z KSR-u i pan Jakub i znowu jestem. Dziękuję bardzo.